

Jacek Karpiński

część III z VI

Sygnatura notacji: **N0203**

Data urodzenia: **09.04.1927 r.**

Data nagrania: **11, 14.09.2008 r.**

Miejsce nagrania: **Dom świadka, Zakopane, Polska**

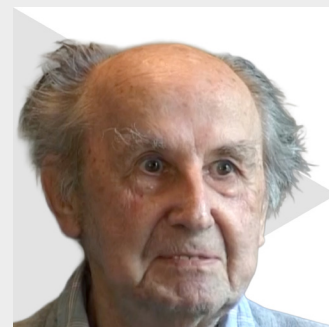
Prowadzący/y rozmowę: **Anna T. Pietraszak**

Czas nagrania: **część I: 58 min, część II: 59 min, część III: 59 min,**

część VI: 59 min, część IV: 37 min, część V: 52 min,

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Jacek Karpiński: Profesor Manteuffel to był wspaniały człowiek, wspaniały chirurg, ale naprawdę taki wspaniały człowiek. Po pierwsze dwie operacje tej ręki to przeprowadzał w szpitalu. Pierwszy raz ja leżałem trzy tygodnie. Jeszcze taka była historia, że ja byłem głuchy i ślepy wtedy, kompletnie, ja nic nie widziałem, miałem spalone oczy. I okulista powiedział, że ja już nie będę w ogóle widział, bo miałem spaloną rogówkę. I znowu jakiś cud boski. Mama chodziła po różnych okulistach i pytała, co można zrobić. I w końcu natrafiła na jednego, który powiedział tak: „Proszę pani, możemy zastosować środek nietypowy. Ale to jest eksperyment. Albo pomoże, albo zaszkodzi. Czy pani się zgadza na to?”. Mama ze mną porozmawiała, a ja mówię, oczywiście. Próbujemy. Szalenie bolesne, nakładanie strasznie pięknej maści pod powiekę, żeby jakoś rozpuścić tę rogówkę czy coś, nie wiem, przez dwa tygodnie. I proszę sobie wyobrazić, że po dwóch tygodniach ja zacząłem widzieć światło. I po następnych dwóch tygodniach ja zacząłem widzieć, i coraz lepiej, coraz lepiej, i w końcu miałem dobry wzrok. A okulista, wszyscy powiedzieli, że koniec. I do tej pory mam wzrok dobry.

Anna T. Pietraszek: A co to był za środek? Nie wiadomo?

Jacek Karpiński: Nie, nie wiem. Jakaś maść, taka biała maść, nakładana szpatułką pod powiekę. Nie wiem, co to było. Piękna okropnie. To strasznie bolało. No ale pomogło. Ja teraz okulary noszę tylko do czytania. No tak, i proszę sobie wyobrazić, że pierwsze dwie operacje to w szpitalu, ale następną doktor Manteuffel powiedział, że niestety nie może mnie przyjąć już, bo będzie podejrzane. A trzeba zrobić operację. Cztery godziny w uśpieniu. Cztery godziny w uśpieniu. Ale ambulatoryjnie, to znaczy ja po tym uśpieniu poleżałem jeszcze dwie godziny i nie wiem, jak ja

to zrobiłem, ale miałem siły sam pojechać z Woli na Mokotów tramwajem, w tłoku, stojąc jeszcze parę przystanków na stopniu tramwaju. Jeszcze trzymałem się. Ja do tej pory nie wiem, jak ja to zrobiłem. Że miałem siłę... Bo normalnie po takim uśpieniu to człowiek leży martwym bykiem przez dwa dni. Cztery godziny operacja.

Anna T. Pietraszek: A dlaczego nie mógł pan zostać po operacji?

Jacek Karpiński: Nie wiem. Profesor powiedział, że zbyt ryzykowne.

Anna T. Pietraszek: A ta operacja była gdzie?

Jacek Karpiński: W szpitalu wolskim. Tak, okropne. No i ta ręka mi się tak goiła, i w sierpniu 1943 roku byłem wyznaczony na akcję zbrojną Sieczychy. I tam była zbiórka, pod Sieieczami, każdy dojeżdżał na własną rękę pociągami. Przedzielaliśmy się przez las do takiej leśniczówki, tam była zbiórka, dowódcą akcji był Andrzej „Morro”, a obserwatorem był Tadeusz, pseudonim „Zośka”. Bo teoretycznie dowódcą powinien być „Zośka”, bo on był starszy stopniem. Ale chciał, żeby to była akcja, na której Andrzej „Morro” zdobędzie doświadczenie. I organizatorem całym był Andrzej „Morro”.

Anna T. Pietraszek: Ile on mógł mieć lat?

Jacek Karpiński: Słucham?

Anna T. Pietraszek: Ile on mógł mieć lat, Andrzej?

Jacek Karpiński: Andrzej miał wtedy chyba dwadzieścia jeden, albo... Chyba dwadzieścia jeden lat miał. Albo dwadzieścia dwa, nie wiem. Ale w tym samym wieku chyba był „Zośka”. Też miał chyba dwadzieścia jeden czy dwadzieścia dwa, nie wiem.

Anna T. Pietraszek: I co to była za akcja?

Jacek Karpiński: Akcja Sieczychy to było rozbięcie posterunku granicznego Niemców między tak zwaną Generalną Gubernią a obszarami wschodnimi, na Bugu. To była strażnica niemiecka i chodziło o to, żeby wybić tych Szkopów. Brało nas udział chyba sześćdziesięciu. Ja miałem pistolet maszynowy schmeissera. Niemiecki, dobry pistolet. No i filipinki. Każdy miał po dwie filipiny. Filipina to był granat uderzeniowy w kształcie stożka. To były filipiny półkilogramowe i kilogramowe. W środku był trotyl i zapalnik uderzeniowy. To znaczy po wyrwaniu tyżki tak zwanej tyżka wylatywała w powietrzu, nie można jej było wyjąć, trzymając, dlatego że po wyjęciu każdy wstrząs, nawet delikatny, powodował wybuch. Więc trzeba było razem z tyżką, tylko zawleczkę wyjąć, rzucić, tyżka wylatywała i wystarczyło, że to o cokolwiek trąci, to był wybuch. I to był granat taki, że on siłą wybuchu niszczył. Wszystko w promieniu trzech metrów trup. A dalej, pięć metrów, już tylko ogłuszał. Ale nie ranił, nie było odłamków w ogóle. Wszystko się spalało. No i w czasie ataku, już pod strażnicą niemiecką, ktoś jakoś tak nieszczęśliwie, któryś z naszych, rzucił filipinkę,

że upadła o cztery metry ode mnie. Ja fiktowałem kozła do tyłu, w podmuchu, a to był piasek, przed tą strażnicą, trzymałem w ręku ten pistolet maszynowy schmeissera, ale wstałem, troszeczkę ogłuszony, i do mnie podchodzi jakiś Niemiec, w gaciach, ale z karabinem. I mierzy do mnie. Był parę metrów ode mnie. Więc ja pociągnąłem za spust, a tu „pfft!“. Normalnie powinna być seria. A on „pfft“, jeden strzał, koniec. I nie wiem, czy zadziało, czy nie zadziało. W każdym razie Niemiec już nie zdążył wystrzelić. Ale ja potem długo walczyłem, żeby uruchomić, bo się zapiaszczył ten... Bo to był świetny pistolet maszynowy, szalenie szybkostrzelny, i celny, ale bardzo wrażliwy na kurz. I niestety... Steny na przykład albo kałasznikowy, to można było piachu nasypać, a on strzelał miło wszystko. A ten schmeisser nie. I ja byłem przy wejściu do tej strażnicy, przez drzwi czy przez okno, już nie pamiętam, wskoczył tam „Zośka“, do środka, i jeszcze nasi też z drugiej strony, powybijali Niemców i niestety „Zośka“ tam został. Dostał kulę w serce. „Zośka“ jako jedyny uczestnik tej... Nikt nie zginął oprócz „Zośki“. Było paru rannych, tam w rękę, tam w nogę, drobiazgi takie, ale tylko „Zośka“ zginął, na miejscu. Furmanka czekała nieopodal. Przenieśliśmy „Zośkę“ na tę furmankę, ale ja byłem taki ciągle troszeczkę ogłuszony. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że on nie żyje. I on na wozie, ja obok siedłem, i jemu tak ręka zwisała. I ja tę rękę poprawiłem, żeby nie zwisała, żeby na piersi. Ale ta ręka znowu zwisała. Więc ja ją znowu mu poprawiłem, „Zośce“, A obok siedł doktor „Brom“. Bardzo wspaniała postać. To był nasz lekarz oddziałowy, doktor „Brom“. Pseudonim „Brom“ oczywiście. Ale nie pamiętam nazwiska. Wiedziałem, ale w tej chwili nie pamiętam. A „Brom“ do mnie mówi: „Jacek, jemu już nic nie szkodzi. On nic nie czuje już. Już nie żyje“. Doszliśmy lasami do takiej polany i było pożegnanie „Zośki“. „Zośka“ leżał przed nami na trawie, a my w szeregu. I symbolicznie Andrzej „Morro“ wystrzelił z pistoletu raz w górę. Takie było pożegnanie „Zośki“. To było 23 sierpnia. Czy 28 sierpnia? Już nie pamiętam. W każdym razie w końcu sierpnia. A we wrześniu grupy szturmowe otrzymały nazwę Batalion „Zośka“. I od tej pory to był Batalion „Zośka“ Armii Krajowej.. Ja byłem skierowany... Bo każdy z nas musiał kończyć jakieś szkolenie wojskowe. I były cztery możliwości. Podchorążówka, taka skrócona podchorążówka, albo kursy komandosów Wielkiej Dywersji, albo tak zwana terenówka, to znaczy działania w terenie, takie różne rzeczy, albo samarytanka. Ja zostałem skierowany na ćwiczenia komandosów jako szkoła Wielkiej Dywersji. Skończyłem tę szkołę Wielkiej Dywersji, to było prowadzone przez komandosów skoczków z Anglii. Było bardzo ciekawie. Uczyliśmy się różnych rzeczy, walki, wyskakiwania z pociągów, samochodów. walki wręcz, ale przede wszystkim o nowoczesnych broniach, o nowoczesnych materiałach wybuchowych, wysadzanie, wysadzanie pociągów, mostów, przede wszystkim mostów, organizowanie pożarów. Nie gaszenie pożarów, ale jak zrobić dobry pożar. No, ale przede wszystkim to była nauka o truciznach i takie zagadnienia typowo sabotażowo-dywersyjne. Czyli szkolenie typowo sabotażowo-dywersyjne. Tak. Na samym początku 1944 roku zostałem skierowany jeszcze na dodatkowe kursy tak zwanej... szkoła dowódców oddziałów partyzanckich. Ale to były krótkie kursy. Tam tylko cztery... Nie, kilka zbiórek było tylko i takie generalne zasady. I zostało to rozwiązane, ponieważ było podejrzenie, że jeden z kursantów jest szpiegiem. Bo to było tak, że on został aresztowany, na ulicy, był w gestapo, był w tym więzieniu... Jakże się nazywało to... W każdym razie dwa razy go wozili na przesłuchania, potraktowali go niby dobrze, a on był w takim białym płaszczu i miał pistolet w tym płaszczu, jak go aresztowali. I nikt podobno nie wykrył. I jak siedł na to przesłuchanie, to wiesz na wieszaku ten płaszcz pistoletem, jakaś taka nieprawdopodobna historia, i podobno jak go wieźli, już nie konwojem, tylko załadowali do czteroosobowego samochodu, Niemcy, to on wyjął ten pistolet, powystrzelał tych Niemców podobno i uciekł. I przyszedł na ten kurs. I Sam słyszałem te opowieści z jego ust. No i instruktor, który nas prowadził, starszy oficer, powiedział, no to wspaniale, naprawdę wspaniale, tak, tak. I jakoś tak zorganizował, że jak on wyszedł, to nam powiedział: „Słuchajcie, więcej się już nie spotykamy. Już koniec.

Bo to może być szpiegus po prostu". Bo to nieprawdopodobne, to, co on opowiadał. No jak to? Że on miał pistolet przy sobie? To nieprawdopodobne. Natomiast ja zostałem skierowany jako instruktor Wielkiej Dywersji dla szkoły podchorążych, ale takiej dodatkowej, dla starszych oficerów, którzy nie znali, oni byli oficerami, już po podchorążówce, w stopniach poruczników, kapitanów nawet, ale nie znali zasad dywersji, tych materiałów wybuchowych, zasad wysadzania pociągów, mostów i tak dalej. I ja jako instruktor zostałem skierowany, miałem wtedy szesnaście lat, bo jeszcze nawet nie siedemnaście, ja dopiero w kwietniu kończyłem siedemnaście, no i wykładałem im. I o tyle było tak dziwnie dla mnie, że ja, taki młodzieniec, z tym że wyglądałem na osiemnaście, ale mój Boże kochany, to byli dorośli ludzie. W grupie było sześć osób. Tak, grupy były takie po sześć osób. Kapitan, jak ja wchodziłem, to ustawiał tych oficerów w szeregu, meldował mi: „Druhu instruktorze” ... Bo ja cały czas... Proszę pamiętać, że i Szare Szeregi, i grupy szturmowe, i „Zośka”, to były oddziały wywodzące się z harcerstwa. Więc on tytułował mnie: „Druhu instruktorze, kapitan taki a taki melduje grupę do wykładu”. No i ja wtedy, że dziękuję, i opowiadałem im. I na koniec tenże kapitan... Podobno, jak mówili, on był autorem piosenki o Dorocie. Bo była taka piosenka: „Kiedy drogą szła piechota, to z uśmiechem swym Dorota otworzyła ścieżaj wrota, w pierwszej czwórce poszła w świat”. To była piosenka o „Agrikoli”. To znaczy „Agrikola” to była podchorążówka i to on był autorem tego. I ułożył piosenkę dla mnie. I na koniec, na ostatniej zbiórce, zaśpiewali mi. Zaśpiewali: „A jakie to mosty budujemy w nocy” ... Nie. „A jakie to mosty wysadzamy w nocy. Obliczamy, ile jest w plastiku mocy, jak zrobić butelkę, uskoczyć za krzaczek, ślicznie opowiada druha instruktor Jacek”. A to była melodia, tylko ja przy swojej chrypce w tej chwili nie ośmieliłem się zaśpiewać. Taka troszkę dziadowska piosenka, melodia, ale bardzo miła. No i później już zbliżało się powstanie, było... ucieczka Niemców z frontu wschodniego. Się już wydawało, że już lada chwila Niemcy pękną. Mieliśmy coraz częściej zbiórki, mieliśmy coraz częściej dyżury dwudziestoczerogodzinne. Chodziliśmy na rozbrajanie Niemców na trasę lubelską, bo tam w wielkim bałaganie ci Niemcy przechodzili, rabując po drodze w Wawrze, w Waninie i tam dalej. Gwałcili tam, kradli. No a jak odszedł od oddziału, to myśmy go rozbrajali. I puszczaliśmy go w gaciach. I tak się zbliżał sierpień znowu. I wszyscy czekali na to powstanie. Uczyliśmy się piosenek, wtedy na powielaczu dostaliśmy zrobione piosenki, takie jak „Warszawskie dzieci”. Nie wiem, czy państwo znacie, „Warszawskie dzieci, pójdziemy w bój”. To była bardzo dobra piosenka. Naprawdę wzruszająca. To oddawało to, co było w rzeczywistości. Bo kto naprawdę walczył w Warszawie? Dzieci. Było bardzo niewielu starszych wojskowych. Przecież głównie oddziały to były... Cały Batalion „Zośka”, a później „Parasol”, bo „Parasol” został nazwany również batalionem już tuż przed powstaniem, bo z jednej kompanii zrobił się batalion. I zarówno w „Zośce”, jak i w „Parasolu” to była sama młodzież. Tam najstarszy chyba miał dwadzieścia pięć lat. Najstarszy. A tak na ogół to... W moim wieku... Ja byłem jednym z najmłodszych. Ale w tym samym tyle samo lat miał Tytus Karlikowski, który jest w tej chwili właśnie szefem środowiska „Zośki”, jak i Witold Sikorski też miał siedemnaście lat. Ale wszyscy inni byli starsi o parę lat. Ale znowuż starszego niż dwadzieścia dwa to u nas nie było. Przecież Krzysztof Baczyński miał... Nie pamiętam, wtedy dwadzieścia dwa lata miał chyba. Czy dwadzieścia jeden? Nie pamiętam. Taka charakterystyczna rzecz, jak mieliśmy zbiórki, w całej drużynie jeszcze, z Krzysztofem, tośmy z nudów różne wierszyki układali. Z tym, że ja wiedziałem, że Krzysztof pisze poważne poezje, ale wtedy sobie nie zdawałem sprawy, że on jest tak doskonałym poetą. I takie różne wierszyki żeśmy tak razem układali. Bo ja też od zarania młodości takie wierszydła układałem. W szkole jeszcze byłem poetą klasowym, znaczy szkolnym nawet. No to żeśmy tak... jedną zwrotkę, on drugą, ja, i tak... Dla śmiechu tak. Ale nie zdawałem sobie wtedy sprawy, że... A odwiedzałem go... On wtedy się ożenił z Basią i przez jakiś czas mieszkali na Sadybie chyba, bo szło się w kierunku Wilanowskiej ulicy i zaraz za Wilanowską on miał takie mieszkanko. I mnie

pytano wiele razy już teraz, jaki Krzysztof był. Ale jak ja go pamiętam, to on był bardzo poważny zawsze, mało się uśmiechał, był raczej śmętny, bardzo poważny, pogodny, ale jakiś smutek w jego oczach był. On był proszony, żeby zrezygnował z akcji bojowych, i chcieli go wziąć do komendy głównej AK. A on powiedział, że skrybą nie będzie, że on chce walczyć. Że on by sobie nie darował, gdyby on nie brał udziału w walce. A tak naprawdę to on chyba przeczuwał, że on nie przeżyje tego. Bo on był bardzo wrażliwy. I ja już wtedy odnosiłem wrażenie, że on długo nie pożyje. Zresztą z jego wierszy też można było wyczuć, że... A szkoda, bo bardzo zdolny chłopak. Przecież on takie dojrzałe wiersze pisał. Prawdziwa poezja. I bardzo trudna poezja, muszę powiedzieć, bo przez wiele lat ta poezja mi nie bardzo odpowiadała. To znaczy niektóre wiersze, tak jak „Most a vignon”, no to... O opadach na moście w Avignon. Nie wiem, skąd on wziął ten Avignon, bo ja później pojechałem do Avignon, na ten most. Ale ten wiersz mi się bardzo podobał, kilka jeszcze innych, ale kilka nie. A teraz dopiero doceniam głębię niektórych bardzo trudnych i wspaniałych wierszy. Ja raczej uwielbiałem Gałczyńskiego. Ten jego dowcip, jego satyra bardzo mi odpowiadała. Te jego, zdawałoby się, idiotyczne jakieś pomysły. Tak jak „Zaczarowana Dorożka” czy „Kolczyki Izoldy”. Ja to rozumiałem. I to było dla mnie wspaniałe. A przecież wiele osób po prostu uważa to za jakieś dziwactwa nic nieznaczące. A dla mnie to była głęboka naprawdę poezja, tylko od innej strony. Może mój ojciec też nauczył mnie myślenia przenośniami. To znaczy odczuwania, nie wiem, czy świadomego czy podświadomego, pewnych treści, które na zewnątrz wydają się błahe, a tak naprawdę kryją w sobie coś. I mój ojciec czytał nam poezję Konopnickiej. „Gdy rycerze jechali na wojnę, mieli konie bardzo niespokojne. Jedne za drugimi woniły, złote podkowy gubiły. A gdy z wojenki wracali, mieli w ranach ostrza zimnej stali. A za wozem na palcach po cichutku szły śliczne konie, osowiałe ze smutku”. Poezje, które ja czytałem w dzieciństwie, w młodości i w całym swoim życiu, ja do tej pory pamiętam. W całości. W całości. Albo taki taki wiersz, który też jest filozoficzny. – Pan mówi. – Filozoficzny wiersz. „Królowna u złotnika obrączki pożyczka, bo ma wyjść dzisiaj za królewicza”. I ojciec do tego ułożył piosenkę. „Królowna u złotnika obrączki pożyczka, bo ma wyjść dzisiaj za męża za królewicza”. Czyż to nie jest śmieszne? Tutaj królewicz, królowna, a tu od złotnika obrączki pożyczka. Coś jest w tym, prawda? I zawsze przed snem ojciec nam opowiadał bajki. Ale to się nie nazywało bajki, tylko historia. Historie o misiu, o Karolku, który był dzielnym chłopakiem. Spał w lesie, palił ognisko w lesie i tak dalej. I codziennie było o wyprawie na księżyc, o dawnych rycerzach, o świętym ogniu, który był symbolem jakiejś wieczności. I proszę sobie wyobrazić, że chodziło o utrzymanie tego ognia. I była świeca zapalona tym świętym ogniem w kościele. I przyleciał ptaszek i zdmuchnął tę świecę, ale zapaliło mu się skrzydełko. I ja już w tej chwili nie pamiętam, jakie było wyjście, w każdym razie ktoś uratował ten ogień ze skrzydełka. Ptaszek zginął, ale ogień był. I to były historie mojego ojca opowiadane na dobranoc. A mama nam śpiewała piosenki. Bo mama pięknie grała na fortepianie. Pięknie grała na fortepianie i ładnie śpiewała. I moja babcia też kończyła konserwatorium, uczyła mnie na fortepianie. No ale jak miałem szesnaście lat i niestety ta ręka została zdezolowana, to ja już nie mogłem ładnie grać, ale grałem. Prawą ręką i trzema palcami lewej ręki. Ale to już nie było dobre granie. Ale grałem to, co można. „Sonatę Księżycową” Beethovena, „Preludia” Bacha. Tak że trochę grałem. A później już tylko improwizowałem. Bo po maturze, którą zdałem w 1946 roku, nie wiedziałem, czy iść w kierunku muzyki, bo chciałem być kompozytorem, bo ja czułem muzykę, po prostu czułem, ja mogę sobie wyobrazić całą symfonię całą instrumentacją w głowie, ja to słyszę, koncert fortepianowy, koncert skrzypcowy, ja słyszę, po prostu słyszę i przeżywam to, czy w kierunku chemii, bo chemia mnie bardzo fascynowała, czy fizyka, czy elektrotechnika, elektronika, radio. I moim przyjacielem z ławy szkolnej jest Jerzy Semkow. Razem siedzieliśmy w jednej ławce i razem byliśmy prymusami w klasie. Najlepsi z fizyki, z matematyki i z polskiego. I z chemii. A ja byłem dodatkowo jeszcze reżyserem teatru szkolnego.

go oraz redaktorem gazetki szkolnej. I razem muzykowaliśmy, zrobiliśmy chór, chór czteroosobowy, Jurek, ja i jeszcze dwóch kolegów, śpiewaliśmy na różne głosy, Jurek był dyrygentem i on też się zastanawiał, czy iść na politechnikę czy na muzykę, do konserwatorium. I ja to samo. I tak jakoś wyszło, że ja w ostatniej chwili... Aha, politechnika była w Łodzi, w Warszawie nie było wtedy. Ja pomyślałem sobie, to ja... Był egzamin akurat na politechnikę w Łodzi. Ja zapisałem się tam i pojechałem. A w tym samym czasie był egzamin do konserwatorium w Krakowie. I Jurek się zdecydował w końcu na konserwatorium. Gdyby on nie został przyjęty, to był również zapisany na politechnikę, a gdybym ja nie został przyjęty, to miałem jechać do Krakowa. Ale tak wyszło, że obaj zaliczyliśmy maksimum punktów. On tam, a ja na politechnice. I nie wypadało już po prostu zmieniać. Ja zostałem na Politechnice, a on w Krakowie na konserwatorium.

Anna T. Pietraszek: Na politechnice w Łodzi?

Jacek Karpiński: Słucham?

Anna T. Pietraszek: Na Politechnice w Łodzi?

Jacek Karpiński: W Łodzi, tak. Tak że pierwsze dwa lata to robiłem w Łodzi, na Wydziale Elektryczno-Mechanicznym. Bo to razem było. I wcale nie żałuję, że ja poznałem bardzo dobrze mechanikę i elektryczność. I fizykę. Wtedy profesorem w Łodzi był profesor Sołtan. Znany fizyk, który zginął niestety w katastrofie lotniczej. A to był wspaniale zapowiadający się młody... On już wtedy był profesorem. Młody chłopak.

Anna T. Pietraszek: A w jakiej katastrofie zginął?

Jacek Karpiński: On zginął niedługo... Chyba w 1948 roku już. Albo w 1947 roku. Albo w 1949 roku może zginął. W każdym razie miał jeszcze z nami wykłady i później już była katastrofa. Cudownie mówił. I tak interesująco naprawdę. Wspaniały naukowiec i wspaniały człowiek. W ogóle miałem wtedy dobrych profesorów. Profesor Konorski, wspaniały. Z matematyki profesor... O rany, jak on... On napisał kilka podręczników. O, nie pamiętam. Pogorzelski. A Konorski od elektryki. Wspaniały. Jako człowiek właśnie. To był ten czas, kiedy profesor był nie tylko naukowcem, ale filozofem, profesorem, doradcą życiowym. Mądrym człowiekiem po prostu. Przewodnikiem jakimś. A teraz to hołota, za przeproszeniem, nazywa się profesorami. Większość z nich to nie ma pojęcia o swoim zawodzie w ogóle. To jest oburzające naprawdę. Bo tych profesorów w PRL-u naprodukowali pod bronią, to wszystko było robione, bo od 1960 roku była infiltracja UB w naukę polską, przed 1960 rokiem nie. Dopiero w 60. latach. Stopniowo wypierali tych przyzwoitych profesorów, ci tak zwani naukowcy z UB, i oni przejęli wszystkie funkcje w Akademii Nauk, na uniwersytetach, i niszczyli naukę polską po prostu. I oburzające jest to, że po tak zwanym wyzwoleniu w 1989 roku zamiast relegować tych wszystkich tak zwanych profesorów i z torbami ich puścić, niech robią to, co potrafią, czyli niech z powrotem gnębią ludzi i szykanują, to im nie odebrano stopni doktorskich ani profesorskich i do tej pory oni i ich wychowankowie zamulają naukę polską. Do tej pory. Proszę zauważyć, że z instytutów, które dawniej coś robiły, to były oazy autentycznej nauki jakiejś tam, to w tej chwili te instytuty nic nie robią poza sprawozdaniami, że czegoś się nie udało zrobić. A mają tematy w ogóle kretyńskie. Ja pracowałem w Polskiej Akademii Nauk przez

dziesięć lat, to ja wiem, co to jest. A zacząłem w 1955 roku, wtedy, kiedy Akademia Nauk to była Akademia Nauk. Kiedy profesor Malecki to był naukowiec. Kiedy profesor Groszkowski to był naukowiec sławny w swoim zawodzie. Elektronik. Kiedy profesor Sosnowski, wspaniały fizyk, to była sława. Kiedy profesor Pniewski czy profesor Danysz... Oni byli nawet kandydatami do Nobla. Ale jako ludzie, to byli nie tylko naukowcy, to byli ludzie. Wspaniali. A w tej chwili, jak się weźmie jednego z drugim, tych tak zwanych profesorów, no to po prostu... Ja mam w dalszym ciągu propozycje współpracy z nimi. Ciągłe mi proponują ci profesorowie obecni, przyjeżdżają do mnie. Ale muszę powiedzieć, że to jest przykre. To jest przykre po prostu. Bo może oni mają jakieś tam wycinkowe wiadomości na jakieś tam tematy, ale nie tego się spodziewa człowiek po naukowcu. To jest naprawdę okropne w tej chwili. A instytut... Bo ja byłem w IPPT, Instytut Podstawowych Problemów Techniki w Akademii Nauk, przez przez dziesięć lat, ostatnie lata byłem przeniesiony do Instytutu Automatyki, ale o ile dyrektorem instytutu IPPT był ciągle profesor Malecki, naukowiec, porządny człowiek, o tyle Instytut Automatyki już był obsadzony przez swojego. I to była kompromitacja. Dureń kompletny, służalczyk wobec władz, który który tak prowadził instytut, żeby instytut nic się zrobił. Jeszcze zatrudnił profesora Węgrzyna, nieuka cholernego ze Śląska, który nie ma zielonego pojęcia o czymkolwiek. Ja go za drzwi wyrzuciłem, bo jak chciał, żebym ja zreferował moją ostatnią koncepcję pewnej maszyny, jak napisałem na tablicy równanie boolowskie, to on zapytał, co to jest. Ja mówię: „Panie profesorze, to jest algebra Boola” – „A, Boola?”. I wtedy mnie szlag trafił. Ja jestem troszeczkę porywczy w takich momentach. To powiedziałem: „Panie profesorze, jak pan się nauczy algebry Boola, to pan do mnie przyjdzie, a teraz drzwi się zamykają z tamtej strony. Tak że już życia później w instytucie nie miałem.